

# Ewa Graczyk

---

## "Zapoznać się z istotną swoją strukturą"

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (125), 123-128

---

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Dociekania

**Ewa GRACZYK**

„Zapoznać się z istotną swoją strukturą”

Teraz, po transformacji, jeszcze wyraźniej widać, że Polska od wojny i powojnia była obiektem wielu rozmaitych preparacji, przedmiotem działań o arbitralnym, narzuconym jej i nienaturalnym charakterze. W jakiejś tylko części były to zabiegi tradycyjne, znane historii od zawsze podboje słabszych zbiorowości przez silniejsze. Ten wątek nigdy nie zanikł, ale od 1939 roku Polska była nade wszystko obiektem zabiegów w przerażający sposób innowacyjnych, szczególnym laboratorium dwu imperiów, które oprócz celów najeźdźczych, realizowały zamiary w szczególnie utopijne, konstruktywistyczne, głęboko zmieniające zajęte przez siebie obszary, zarówno te dosłowne, terytorialne, jak i ideowe i etyczne.

To na ziemiach Polski nazizm najbardziej intensywnie testował swoje ludobójcze wizje, tworząc getta, obozy koncentracyjne, tu przede wszystkim rozegrała się Zagłada, tu hitleryzm najpełniej rozwinął maszynę eksterminacji i eksploatacji. W chwilę potem, w dużej części korzystając z kolein i pustki, wytworzonych przez niemiecki totalitaryzm, stalinizm zainstalował w Polsce własną zbrodniczą aparaturę narażając ją (jak się wkrótce okazało) na transformujący i destrukcyjny dla siebie styk z romantyczno-katolickim, głównym nurtem palimpsestu polskiej kultury (szczególnie silnym w chwilach zagrożenia, więc podskórnie będącym w stanie alertu przez całe pięćdziesiąt lat, najpierw niemieckiej okupacji, a potem Polski Ludowej). Jasne jest, że i po drugiej stronie zależności podłoże kulturowe ulegało przy tym głębokiej modyfikacji i destrukcji (tym wątkiem teraz nie będę się zajmowała).

Od 1939 roku Polska podlegała więc ciągłej obróbce, była zarówno miętoszona łapami kolejnych najeźdźców, jak i utopijnie krajana w różnego rodzaju wycinanki, w rozmaite konstrukcje społeczne i kulturowe, niechciane przez Polaków, odrzucane przez nich/nas.

## Dociekania

Kiedy więc spoglądamy wstecz ku PRL-owi, widzimy, że mieliśmy tam do czynienia z długim okresem panowania jawnej, nieprzesłoniętej, a w momentach wprowadzania zbrodniczej sztuczności. Przeszliśmy panowanie wielu konstruktorów i konstrukcjonizmów; władztwo, jak by powiedzieli marksiści, jaskrawych woluntaryzmów. Różnie przy tym w rozmaitych okresach wyglądał wzajemny układ pomiędzy wytworami a modelującymi je konstruktywizmami; różne panowały stosunki pomiędzy projektami i praktykami wycinania oraz konstruowania a opisywaniem realnych społecznych fenomenów w kategoriach tychże konstruktywizmów, kolejno nazistowskich i marksistowskich. Pod tym względem z nazizmem mamy mniejszy kłopot, był on bowiem ideologią i praktyką najeźdźców, więc zasadniczo (choć nie pod każdym względem, musimy wziąć pod uwagę, na przykład, obserwacje i refleksje Kazimierza Wyki z *Życia na niby*) nie został przyswojony przez swoje ofiary, ani jednostki, ani narody, eksploatowane i eksterminowane.

Z komunizmem i marksizmem sprawa była i jest o wiele bardziej skomplikowana. Komunizm pozostał u nas i z nami czterdzieści pięć lat, wrastając w polską historię, a w tym czasie marksizm był najpierw jedynym, a potem ciągle jednak uprzywilejowanym, oficjalnym językiem polskich nauk społecznych i humanistycznych, w tym literaturoznawczych (dlatego, nawet odrzucany, pozostawał ciągle jawnym lub domyślnym kontekstem każdej czy prawie każdej krajowej wypowiedzi naukowej). Przez te czterdzieści pięć lat sztuczność, arbitralność groźnej utopii stopniowo naturalizowała się, nigdy nie stając się jednak czymś naprawdę wygodnym i własnym, metalowe kości stalowych konstrukcji obrastały wątlm historycznym i survivalowym mięsem, a metodologia marksistowska traciła żywotność wraz z rosnącym znudzeniem (czy wręcz obrzydzeniem) stosujących ją przymusowo czy konformistycznie badaczy.

Jednak wrażenie nierealności, widmowości świata PRL-u do końca dręczyło jego mieszkańców. Żywi ludzie umieszczeni w upiornie laboratoryjnych warunkach albo także się denaturalizowali i sami siebie, nawzajem, postrzegali jako widma i kukły (poniekąd straszili wzajemnie), albo wprost przeciwnie – rodził się niezwykle kontrast między żywą ludzkością jednostek (ostrożniej mówiąc, niektórych jednostek) a nieludzkością, groźną sztucznością ram, instytucji i warunków, w których przyszło im przeżyć swoje życie.

Cała właściwie literatura PRL-u świadczy o tej dwoistości i każde ważne dzieło tego okresu gdzieś tę widmowość, schematyczność i nierzeczywistość PRL-owskiego świata i/lub ludzi widzi i rejestruje.

Jedna z powieści Kazimierza Brandysa nazywa się *Nierzeczywistość a tezy Świata nieprzedstawionego* Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego trzeba właściwie traktować *à rebours*, jako świadectwo poczucia autorów, że żyją wśród widm i atrap. Podobnie swoje *Wesele* razem z *Dziadami* ciągle pisze Konwicki, nieustannie zwiadując upiory. Przykładów można by wymienić bardzo wiele. PRL-owskiego świata nie można było dobrze, realistycznie przedstawić, bo w jakimś sensie nie istniał, nie był prawdziwym światem, za dużo w nim było miejsc niedorobionych, pustych, podejrzanych. W szczególnie sposób używając teorii Ingardena powiedzieć można,

## **Graczyk** „Zapoznać się z istotną swoją strukturą”

że literatura, ze swoim schematycznym sposobem istnienia, przeżywała straszną próbę, mając ciągle do czynienia z materią pozaliteracką już powycinaną, w jawny sposób skonstruowaną i niepełną, którą pisarze jeszcze raz dziurawili swoimi piórami.

Do silnego poczucia zamieszkiwania w widmowym świecie przyczyniał się także fakt, iż po wojnie w PRL żyliśmy w zależności od dwu różnego rodzaju centrali, metropolii, w dwu innego rodzaju odczuciach, że nasze życie jest gdzie indziej, że w innym miejscu decydują się nasze losy. Na płaszczyźnie zależności politycznej, „siłowej”, podlegaliśmy sowieckiej Rosji, a na płaszczyźnie intelektualnej, myślowej i emocjonalnej, za sprawą nieodwzajemnionego uczucia poprzez fantazmaty i projekcje, ciągle chcieliśmy należeć do Zachodu. Żyliśmy więc w zależności podwójnej, zależności w trójkącie (w różnych okresach odmiennie ukształtowanej), w którym masywna, natychmiast rzucająca się w oczy dominacja sowieckiej Rosji czyniła nas w szczególny sposób bezbronnymi wobec złożonej, subtelnej, znacznie trudniejszej do opisania zależności od zachodniej Europy – wieloletnie odłączenie od Zachodu, zamknięcie za Łabą oraz dominacja Sowietów zamieniało bowiem ciągle na nowo naszą dawną przynależność na uczuciową i intelektualną zależność. Była to zależność życiodajna, niezbędna, ale ona także niosła ze sobą wielkie koszty i również niedobre konsekwencje. Trójkąty rozpraszają, są nieprzejrzyste, a kiedy się tkwi w takim trójkącie, trudno się połapać, gdzie i kim się jest, co się czuje. Istnienie naszej zależności politycznej i militarnej od sowieckiej Rosji komplikowało nasze relacje z Zachodem, nieustannie przesuwał je w sferę śnienia, w obszar fantazmatów.

Teraz, po odzyskaniu niepodległości i po ustrojowej transformacji, w jakimś sensie budzimy się ze snu i więcej egzystujemy na jawie. Zamieniamy podwójne związanie, odmienną w każdym z obu przypadków zależność (i przynależność) od Sowietów i Zachodu, na zależność pojedynczą, zależność od bardziej rozwiniętej, bogatszej Europy Zachodniej, wracamy więc do „zwykłego” związku peryferii i centrum. Mamy szansę odnaleźć tę odmianę gorszości, którą reprezentowaliśmy przed II wojną światową, a którą opisuje (na przykład) młody Gombrowicz w swoich felietonach i podróżniczych zapiskach. Nie ma wątpliwości, że to dobra okoliczność, daje bowiem sporo szans na różnorodne awanse zapóźnionym prowincjuszom z rodzinnej Europy.

Ale, w przeciwieństwie do zdominowanych, diabeł nie śpi, więc jedni śnią obecnie mniej, a inni, o dziwo, jeszcze więcej. Rozgorączkowana społeczna rzeczywistość nie odzyskuje 36,6 stopni Celsjusza. Nowej szansie towarzyszą nowe zagrożenia, rodzą się bowiem inne psychospołeczne problemy związane tym razem z nagłym i brutalnym odczarowaniem Zachodu, który oglądany z bliska, nie ze środka PRL-owskiej puszkii, rozczarowuje czy wręcz rani wielu nagle zbudzonych śniących. Powszechnie marzono, że po małym, brudnym laboratorium, którym był PRL, przyjść musi normalna, prawidłowa, wielka rzeczywistość. A w tym, co przyszło po transformacji, wielu, a może nawet większość, zobaczyła „tylko” inny stan, inne skupienie nienormalności, sztuczności i niepełności. Transformacja, powrót

do Europy, odsłonił bowiem całkowicie nierealistyczny kształt naszych opozycyjnych, solidarnościowych marzeń o Zachodzie jako pozytywie peerelowskiego negatywu. Dokładniej mówiąc, za czasów PRL-owskiej widmowości nie było całkiem jasne, gdzie ten wymarzony pozytyw (niezbędny do prowadzenia walki) się znajduje: dla wielu był na Zachodzie, dla innych krył się w domu i kościele (w tradycji tłumionej i deprawowanej, ale przecież nieprzerwanie egzystującej), a dla większości majaczył w bliżej niesprecyzowanej dali, trochę tu, a trochę tam.

Świat, do którego wróciliśmy, do którego dołączyliśmy ponownie po 1989 roku okazał się równie, choć nie tak samo, sztuczny i nienaturalny jak peerelowskie laboratorium. Co więcej, jest on nieustannie na nowo konstruowany, a znaczna część jego mieszkańców wie o tym i chce tego. Mieszkańcy naszej części świata patrzy, jak tamci, zachodni, odwracają się od pojęcia normalności i naturalności (naszych podstawowych, fantazmatycznych, jak się coraz częściej okazuje, broni skierowanych przeciw komunie), postrzegając je jako groźne i represyjne. Znaczna ich część boi się więc tego, czego my bardzo chcemy (chcieliśmy), co jest (było) naszym najgorętszym marzeniem.

Zamęt emocjonalny wielkiego powrotu jest więc naprawdę trudny do zniesienia: uwolnienie się od resztek utopii – martwej, groźnej i obłudnej – przeradza się często w strach przed wszelkim społecznym wysiłkiem konstrukcyjnym. Na Zachodzie społeczna wrażliwość domagająca się sprawiedliwości i twórczości konstruuje, dekonstruuje, rewiduje. Wielu „naszych” z trudnością rozpoznaje, a inni nie poznają wcale, że w tym, co odnaleźliśmy po naszym przyłączeniu się do Zachodu, znajduje się jednak wiele z poszukiwanych przez nas wartości i idei, tylko pojawiają się one w zupełnie innych konstelacjach niż w tamtej fantazmatycznej, peerelowsko-solidarnościowej opozycji dobra, normalności, naturalności skierowanych przeciw złu, nienormalności i sztuczności. Po transformacji, po powrocie, dochodzi więc do rozmontowania ważnego paradygmatu, destrukcji mentalnego wzoru służącego przetrwaniu i walce z komuną.

Sytuację komplikuje również fakt, iż przeżycie denaturalizacji, utraty poczucia oczywistości i zwyczajności fenomenów świata, kultury, społeczeństwa; postrzeganie tego, co wydaje się naturalne i oczywiste jako czegoś historycznego, względnego i skonstruowanego, jest czymś, do czego dążą, czego pragną dzisiejsze elity intelektualne zachodniego, postmodernistycznego, zglobalizowanego świata, a my, peerelowski tłum (dla niektórych motłoch, stado), mieliśmy podobnego doświadczenia po dziurki w nosie i chcieliśmy się go pozbyć. Wielu z nas odpowiedziało na ponowne (choć głęboko odmienne) doświadczenie odzwyczajnienia absolutnym jego odrzuceniem, (konserwatywnym?) odreagowaniem. Społeczeństwa Zachodu doświadczają denaturalizacji, odzwyczajnienia, utraty niewinności w kwestii konstruktualnego charakteru społecznego świata w rytmie dużo spokojniejszym niż my, a procesy przyswajania tej wiedzy są długotrwałe, rozproszone i w mniejszym stopniu niż na nas wymuszane. W Polsce, czy w ogóle w tej części świata, utopijność starego typu spotkała konstrukcje, konstruktywizmy i utopijności nowego typu w nagły, rewolucyjny sposób, do gwałtownego skonfrontowa-

## **Graczyk** „Zapoznać się z istotną swoją strukturą”

nia się z nimi zostali zmuszeni absolutnie wszyscy, od profesorów uniwersytetu do pań z kółka różańcowego. Pragnienia, emocje większości Polaków po 1989 lokowały się raczej w niejasnej sferze restauracji, odtworzenia, powrotu (dziś jest jasne, że od samego początku nie było do czego wracać), odpoczynku. Większość z nas prezentowała w momencie przełomu i tuż po nim niepowtarzalną postawę zachowawczych buntowników.

Najlepiej by dla nas było, gdybyśmy „poserfowali”, pofrunęli od jednej rewolucyjnej fali do drugiej, gdybyśmy nie spoczęli jako rewolucjoniści (którymi byliśmy w raczej niewielkim stopniu). Wydaje się, że późna nowoczesność wymaga od nas skoku przez fale dwu sztuczności, domaga się nieustannego konfrontowania spadku po peerelowskiej utopii zakrzepłej i dolegliwej, z nowego typu rozproszonymi, wielorakimi fenomenami nowej utopijności.

W pewnym sensie, po 1989 roku, po obaleniu berlińskiego muru, stykają się ze sobą dwie lektury, dwa użycia nauk Karola Marksa: nasza smutna praktyczna wiedza (wyniesiona z laboratorium, w którym byliśmy w o wiele większym stopniu królikami doświadczalnymi niż działającymi podmiotami) oraz zachodnie, osmotyczne przyswajanie/odrzuwanie marksizmu obecnego w większym i/lub mniejszym stopniu we wszystkich ruchach i dyskursach emancypacyjnych. Najgorzej by było, gdyby nasze peerelowskie doświadczenie okazało się zbyt skuteczną antymarksistowską szczepionką. Powstaje jednak ważne pytanie: czy da się w miarę możliwości bezpiecznie „przeskoczyć” od skompromitowanej, złej sztuczności PRL-u (wraz ze sferą zachowawczo-rewolucyjnego oporu wobec niej) do świata w nowy sposób poruszonego, świata, w którym nie sposób istnieć bez współudziału w ciągłym tworzeniu, rekonstruowaniu społecznej rzeczywistości.

P.S. Tekst ten jest początkiem dużo większej całości, w której wróć do wielu wątków, tutaj tylko sygnalizowanych. Używając zaimka „my” (wraz z epitetami „nasz”, „nasza”, „nasze”) mam na myśli zbiorowość, która przeciwstawiała się peerelowskiemu „onim”. Kiedy używam dziwnej konstrukcji „nam/ich”, „nam/im” chcę zaznaczyć, że należałam za komuny do tamtej zbiorowości, ale obecnie staram się ją zobaczyć także z zewnątrz, z zupełnie innych już pozycji.

Dociekania

## Abstract

**Ewa GRACZYK**  
**University of Gdańsk**

### **“Learning One’s Own Essential Structure”**

This essay emphasises the effects of the two totalitarianisms on the Polish society’s life after WW2, marked with that very peculiar ‘legacy’. The author also considers the problem of Poland’s dependence on/belonging to the Western world, in the said context.